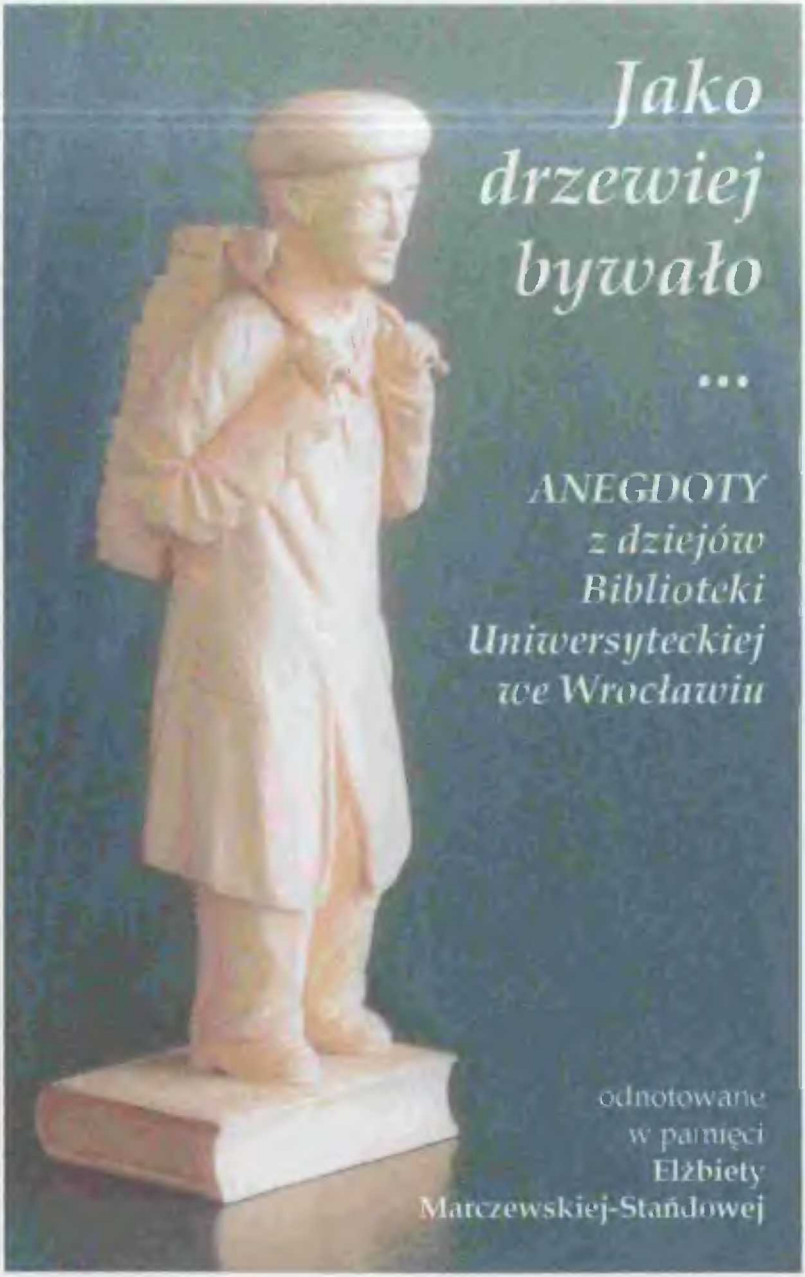

Jako drzewiej bywało ...

ANEGDOTY z dziejów Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu

odnotowane
w pamięci
Elżbiety
Marczewskiej-Stańdowej

Jako drzewiej bywało

...

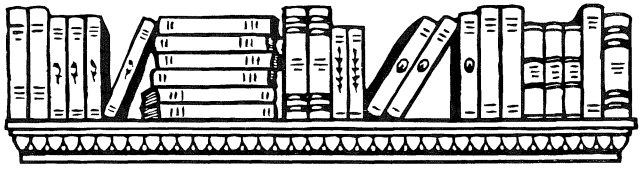

ANEGDOTY
z dziejów Biblioteki Uniwersyteckiej
we Wrocławiu

odnotowane w pamięci
Elżbiety Marczewskiej-Stańdowej

Wrocław 2001

Fotografia na okładce przedstawia rzeźbę autorstwa

MARIANA FELIKSIKA

długoletniego pracownika Biblioteki Uniwersyteckiej

Opracowanie graficzne:
Elżbieta Kołodziejczyk

Redakcja, skład komputerowy i korekta:
Elżbieta Kołodziejczyk

Druk:
Oficyna Wydawnicza
„ K W I A T P R E S S ”
Wrocław 2001

Zebrane w niniejszej publikacji nieliczne anegdoty, utrwalone w mojej pamięci, pochodzą z lat 1946 – 1970. W tym czasie w fotelu dyrektorskim Biblioteki Uniwersyteckiej zasiadali: prof. Antoni Knot (1945 – 1963), dr Jadwiga Pełczyna (1963 – 1969) i mgr Mieczysław Szczerbiński (1970 – 1975). Najobficiej rodziły się one w początkowym okresie działalności Książnicy, a więc za czasów prof. Antoniego Knota, który w latach 1946 – 1949 pełnił także funkcję naczelnego dyrektora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Do tych legend z przeszłości, gwoli wprowadzenia w dawną rzeczywistość, pozwolę sobie dorzucić parę faktów historycznych.

W sierpniu 1945 r., na mocy dekretu rządu, Uniwersytet Wrocławski i Politechnika Wrocławska stały się polskimi państwowymi szkołami akademickimi, a ich pierwszym rektorem, jak również organizatorem życia naukowego i dydaktycznego w płonącym jeszcze mieście, został prof. Stanisław Kulczyński. Zniszczone zakłady naukowe, dogasająca Biblioteka Uniwersytecka — to wszystko wymagało wielkiego wysiłku, aby uczelnie nabrały blasku życia. Jednakże ofiarna praca i zdolności organizacyjne pierwszych ekip naukowych, a także ludzi nauki znajdujących się w obozach koncentracyjnych we Wrocławiu sprawiły, że uroczysta inauguracja roku akademickiego 1945/6 odbyła się z początkiem czerwca 1946 r. w „Auli Leopoldina". Biblioteka Uniwersytecka natomiast rozpoczęła urzędowanie w dawnej Książnicy Miejskiej — przy ul. Szajnochy 7/9 oraz w gmachu na tej samej ulicy „pod dziesiątką" — i już w lutym, w zaimprowizowanej czytelni, udostępniała książki pracownikom dydaktycznym Uniwersytetu. Obecna czytelnia, mieszcząca się w budynku przy ul. Szajnochy 7/9, została otwarta w kilka miesięcy później, a korzystali z niej nie tylko naukowcy i studenci, ale również uczniowie szkół średnich. Ci ostatni często przepisywali całe fragmenty utworów, będących lekturami szkolnymi.

We wrześniu 1947 r. rozpoczęła swą działalność we Wrocławiu Biblioteka Ossolińskich. Odciążyło to w dużej mierze Uniwersytecką i było wielkim dobrodziejstwem dla wykładowców i uczącej się młodzieży. Rok wcześniej udostępniła też swoje zbiory Miejska Biblioteka Publiczna. W dwa lata później uczyniły to jej filie oraz powstające coraz liczniej biblioteki szkolne, a także chętnie odwiedzana przez młodzież Biblioteka Sergiusza Kazanowicza.

Rozwój bibliotek uczelnianych w latach pięćdziesiątych nie wpłynął na zmniejszenie grona czytelników Biblioteki Uniwersyteckiej. Odbudowa (1956 – 1958) spalonego gmachu „Na Piasku" — przy ul. św. Jadwigi 3/4 — i przeniesienie tam zbiorów specjalnych oraz otwarcie nowej, dysponującej 25 miejscami, czytelni nie uszczupliło liczby korzystających

z księgozbiorów „Na Szajnochy". Niespełna 100 miejsc w Czytelni Głównej i około 30 w Czytelni Czasopism nie wystarczało już do obsługi użytkowników. Przeniesienie (1961 - 1966) Oddziału Udostępniania Zbiorów do gmachu obok — ul. Szajnochy 10 — nie sprostało zadaniom, jakie stały przed Biblioteką, pełniącą od początku swojej działalności rolę biblioteki środowiskowej.

Po przejściu prof. Antoniego Knota do Katedry Bibliotekoznawstwa, dyrektorem Biblioteki została dr Jadwiga Pełczyna, która „od progu" przystąpiła do kapitalnego remontu czytelni przy ul. Szajnochy 7/9. Znalazło to uznanie i poparcie ówczesnych prorektorów, zarówno prof. Mariana Jakóbca, jak i prof. Władysława Floryana. Zrodził się wtedy projekt zorganizowania oddzielnej czytelni dla pracowników naukowych. Niestety, zabrakło dodatkowego pomieszczenia. Rozważano nawet, czy części czytelni nie „obudować" szklanymi ścianami, tworząc w ten sposób oddzielną pracownię. Jednakże profesorowie nie zaakceptowali pomysłu, mówiąc z uśmiechem, iż: „Żeromski nie przewidywał powstawania szklanych bibliotek i wystarczy nam wydzielony kąt z odpowiednią liczbą miejsc, bez przezroczystej zasłony..." Tak też się stało. Projektantem wnętrza był Zbigniew Kawecki, profesor PWSSP we Wrocławiu. Nowa czytelnia miała 178 miejsc, w tym 30 wydzielonych dla pracowników naukowych.

Ale i to z czasem okazało się niewystarczające. Wzrastająca stale liczba uczącej się młodzieży, a także powstające nowe kierunki studiów zwiększały grono użytkowników Biblioteki, zmuszając dyrekcję do nowych rozwiązań. Po przejściu dr Jadwigi Pełczyny na emeryturę, jej następca — dyrektor Mieczysław Szczerbiński — rozpoczął urzędowanie od otwarcia Czytelni Nauk Politycznych „Na Szajnochy" (30 miejsc) oraz Czytelni Starych Druków „Na Piasku" (12 miejsc). W sumie uzyskano dodatkowe 42 miejsca, tak bardzo użytkownikom Książnicy potrzebne.

„Naszą budą na Szajnochy" nazywali często studenci — zwłaszcza zaoczni — Bibliotekę Uniwersytecką, w której spędzali każdą wolną chwilę, cytując często dowcipne powiedzonko jednego ze swoich mistrzów, że: „Studenci dzielą się na samouków i nieuków". Uznaniem i frekwencją czytelników cieszyła się również zorganizowana przez dyrekcję mała kawiarenka „Na Szajnochy". Niestety, radość z jej istnienia nie trwała długo. Nie było wówczas komputerów, a pomieszczenie potrzebne było na ustawienie nowych skrzynek katalogowych. Studenci zatem musieli „gasić pragnienie" nie filiżanką herbaty, ale szczęściem otrzymania zamówionej książki i zdobyciem wolnego miejsca w czytelniach. Z tych czasów pochodzi przytoczony niżej wiersz „Co w trawie piszczy?... Czyli piosenka o tym, gdzie nie ma studentów, a gdzie są", *autorstwa Anny Białeckiej, wiernej czytelniczki Uniwersyteckiej Książnicy:*

Szczere pustki są w mieście.
Pytają ludziska:
Gdzie to są studenty?
Nie widać ni pyska!
A w czytelni nas jest tyle,
że nie wsadziłbyś dwóch szpilek.
A w czytelni taki tłok,
że ni w przód, że ni w bok!
Przyjechali goście
na występ beatowy,
ale sala pusta —
dziadek... cztery wdowy...
A w czytelni nas jest tyle,
że nie wsadziłbyś dwóch szpilek.
A w czytelni coraz więcej,
że się plączą nogi, ręce...
Kino świeci pustką.
Film jak bomba leci.
Dziwują się starcy,
dziwują się dzieci!
A w czytelni tyle „wiary",
że nie znajdziesz wolnej szpary.
a w czytelni taki tłok,
że ni w przód, że ni w bok!
Wolne w parkach ławki
w alejkach cicho.
Czy miasto wymarło?
Gdzie młodzież?... Kie licho?...
...A w czytelni już Gomora
(a tu ciągle walą z dwora).
A w czytelni trzeszczą stropy,
taki jest na wiedzę popyt!*

Ale nie tylko twórczością poetycką wyrażali użytkownicy Biblioteki swoją do niej sympatię. Szczególnym dowodem jej — po latach — była spontaniczna pomoc dawnych i aktualnych studentów przy ratowaniu zbiorów Książnicy podczas powodzi w 1997 r.

Elżbieta Marczewska-Stańdowa

---

* Ze wspomnień „czterdziestolatków". Wspominali: A[dam Skóra], E[lżbieta Marczewska-Stańdowa], E[wa Stoffel-Ożogowa], H[anna Waligórska-Gerus], T[eresa Osiecka], Życie Uniwersytetu Wrocławskiego, 15 listopada 1945 - 15 listopada 1985, s. 6

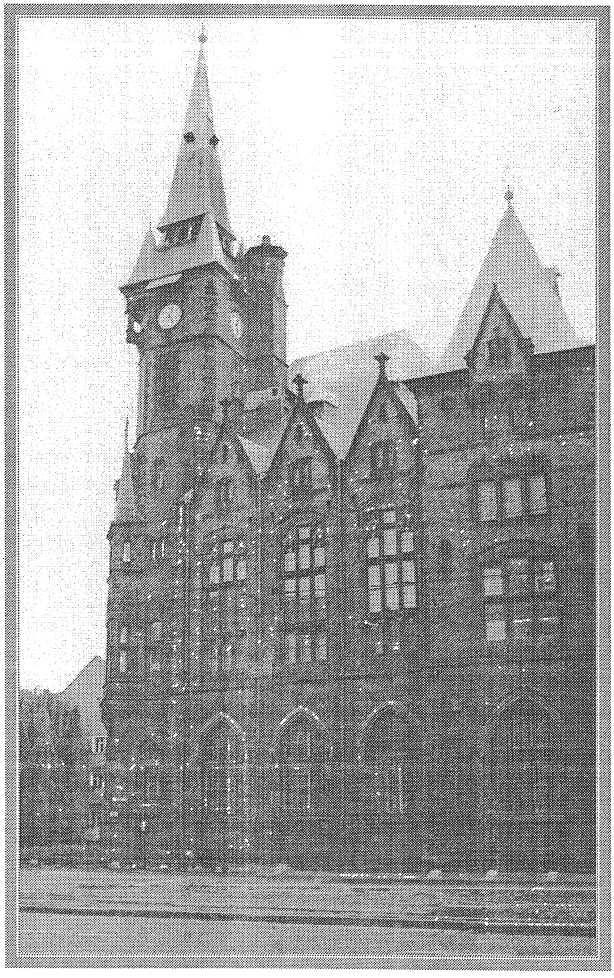

Biblioteka Uniwersytecka przy ul. Szajnochy 7/9
(od strony ul. Kazimierza Wielkiego)

Stara książka
jest jak stare wino,
stwierdził kornik,
nadgryzając
„Kronikę" Bielskiego...

Główny gmach Biblioteki Uniwersyteckiej, zbudowany w stylu neogotyckim, z przestronnym holem, ściągał do siebie nie tylko uczonych i uczących się. Wielu przybyszów — w latach czterdziestych — wchodziło do niego jak do kościoła, czyniąc znak krzyża i pytając nieśmiało:
— A ołtarz gdzie macie?

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy korytarze Biblioteki były wypełnione hałdami książek, przybyła do niej delegacja ministerialna. Interesowały ją zbiory zabezpieczone. Wizytacja wypadła pomyślnie. W pewnym momencie, gdy panowie wraz z dyrektorem Biblioteki szli korytarzem, chwaląc wyniki pracy, spoza hałdy pojawia się nagle kolega W., mówiąc:
— Teraz to pięknie, ładnie, ale szanowne ministerstwo nie chciało dać na tę akcję złamanego grosza!

W tychże latach dyrektor Biblioteki dr Antoni Knot zorganizował zakładową straż pożarną. Prorektor uczelni, czytając wywieszoną instrukcję dla „strażaków", skomentował ją:
— Nic się nie pali bez knota...

W latach pięćdziesiątych grupa osób zwiedzających Wrocław przechodziła koło budynku Biblioteki Uniwersyteckiej „Na Piasku". Patrząc na nowo odbudowany gmach w sąsiedztwie kościoła NMP, jeden z turystów zapytał:
— A w tym budynku jakie siostry mieszkają?
W tym momencie z gmachu Biblioteki wychodził dyrektor, a usłyszawszy pytanie, odpowiedział szybko:
— Karmelitanki trzewiczkowe.

Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Edward Marczewski — w czasie swojej kadencji — wizytował Bibliotekę Uniwersytecką. Ówczesny dyrektor Książnicy prof. Antoni Knot przedstawiał poszczególnych pracowników, informując o zakresie ich pracy. Kiedy doszło do kolegi, który był z wykształcenia klimatologiem, Magnificencja z uśmiechem przerwał prezentację, mówiąc:
— Już wiem, co pan robi w Bibliotece: poprawia klimat!

Dyrektor Biblioteki miał zwyczaj od czasu do czasu „łapać spóźnialskich", stojąc w drzwiach prowadzących do Książnicy. Kolega S., mieszkający naprzeciw zakładu pracy, zjawił się kiedyś z piętnastominutowym opóźnieniem. Szef zapytał go groźnie:
— A pan także nie mógł się doczekać tramwaju?
— Nie — odparł delikwent — ja nie czekałem. Niestety, spóźniłem się, bo żaden tramwaj mi nie pasuje...

Dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej prof. Antoni Knot zwykle wydawał podwładnym polecenia na karteczkach — jak mawiał — napisanych w domu przy goleniu. Po przyjściu do pracy wręczał je woźnemu, który roznosił „grypsy". Będąc w humorze, dyrektor pisał przy nazwisku „pan" lub „pani", ale gdy miał zły dzień, czy ktoś mu się naraził — na karteczkach widniał „obywatel" lub „obywatelka". Zdarzyło się, że w tej samej sprawie wymagającej wspólnego załatwienia kolega G. figurował na karteczce jako „pan", a kolega S. jako „obywatel". Po wykonaniu zadania obaj zgłosili się do dyrektora. Kolega G. szybko wcisnął się do gabinetu, mówiąc:
— Ja jako pan wchodzę pierwszy, obywatela zostawiłem w przedpokoju.

Z końcem lat pięćdziesiątych — dość krótko — dyżury popołudniowe w Lectorium pełnił pan dr Aleksander Rombowski. Czytelnia Główna otwarta wtedy była do godz. 21 i powroty z pracy do domu, szczególnie jesienią i zimą, nie były przyjemne. Dr Rombowski zwrócił się więc do dyrektora Biblioteki o załatwienie mu zezwolenia na noszenie broni. Wysłuchawszy jego propozycji, dyrektor oświadczył, że dołoży wszelkich starań, aby załatwić mu eskortę milicyjną...

Jan Kuglin, dyrektor Drukarni Uniwersyteckiej, opowiadał o spotkaniu w tymże zakładzie dwóch panów: dra Knota i prof. Knastra. Profesor Knaster, robiąc szybko korektę swego artykułu, poirytowany błędami, jakie tam znalazł, pokazuje go drowi Knotowi, mówiąc:
— Ale mi sknocili!
Ten zaś odpowiada:
— I nie wie pan, co z nimi zrobić? Wyknastrować ich!

Pani Janina Stempel, autochtonka, pracująca w sekretariacie dyrekcji, skręciła nogę. Wcześniej jej szef miał podobną przygodę. Poszkodowana, nieco już spóźniona, utykając wchodzi do gabinetu zwierzchnika i dość głośno go zapytuje:
— Jak długo pan brakował po wypadku?
Ten, patrząc na nią spokojnie, odpowiada:
— Ja brakowałem dwa miesiące.

Taż sama osoba łączy telefonicznie dyrektora Biblioteki z rektorem poprzez sekretariat. Po sygnale i pozdrowieniu telefon wyłącza się. Pani Stempel dzwoni ponownie i słyszy zniecierpliwiony głos z drugiej strony:

— Przecież już dyrektora z rektorem łączyłam!
— Tak, zgadza się — pada odpowiedź. — Ale pan dyrektor jest przerwany.

Imieniny dyrektora Biblioteki prof. Antoniego Knota były zawsze uroczyście obchodzone. „Mowę okolicznościową" wygłaszał ktoś z seniorów. W jednym z panegiryków imieninowych dr Jarosław Wit Opatrny powiedział:
— Jesteś jak ptak, który swymi ogromnymi skrzydłami chroni nas, unosząc się nad gniazdem.
A ktoś stojący z boku cicho dorzucił:
— Mając takie skrzydła, szybko poleci dalej...

Dyrektor Biblioteki, zaczynając pracę w nie najlepszym humorze, oświadczył „od drzwi", że jest nieobecny. W jakiś czas później przyszedł prof. W., któremu pracownik sekretariatu oznajmił, iż szefa nie ma. W tymże momencie otworzyły się „wrota" gabinetu i pan dyrektor stanął na progu, kordialnie witając profesora, który z kolei przekazał mu informację, jaką otrzymał od jego sekretarza. W odpowiedzi usłyszał:
— Widzi pan z kim ja muszę pracować! Nawet nie wiedzą, czy ja jestem w gabinecie!

Profesor Stanisław Szpilczyński, sąsiad Biblioteki Uniwersyteckiej „Na Szajnochy" i stały jej bywalec, zobaczywszy dyrektora Antoniego Knota, stojącego w drzwiach Książnicy i spisującego spóźnialskich, ze zdziwieniem zapytał, czy nie ma on kierownika administracyjnego, który by się tymi sprawami zajmował.
— Mam — odpowiedział dyrektor — ale ten pan też się spóźnia...

W latach czterdziestych do Dyrekcji Biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego wpłynęło pismo z zapytaniem, czy w odpowiedni sposób w Bibliotece przechowuje się akta związane z bieżącą działalnością. Dyrektor, przeczytawszy to pismo, natychmiast polecił odpisać: „W zimie pod kamyczkiem w piwnicy, a w lecie pod kamyczkiem na słońcu."

Kierowniczka jednego z oddziałów, bardzo zdenerwowana, biegnie do pokoju dyrektora Biblioteki, którego spotyka już wychodzącego z gabinetu, na korytarzu. Nie tracąc czasu, głośno oznajmia mu cel swego przybycia:
— Panie dyrektorze, proszę natychmiast zabrać ode mnie z działu tego wariata! Już dłużej nie wytrzymam!
Szef zatrzymuje się na chwilę i spokojnie pyta:
— Czy idzie o tego z lewej, czy z prawej?

Dr Antoni Knot w latach czterdziestych prowadził ćwiczenia z „Wychowania i Pedagogiki" w katedrze prof. Stanisława Tynca. Odbywały się one dwa razy w tygodniu w Bibliotece Uniwersyteckiej, a ich zaliczenie było uwarunkowane pomyślnym złożeniem kolokwium. Studenci „wyszpiegowali", że dyrektor we wtorki pyta o pedagogów „habitowych", a w czwartki „lecą cywile". Mimo to zdarzyło się kiedyś, iż delikwent wyszedł z gabinetu bardzo zdenerwowany, a gdy go zapytano, co się stało, odpowiedział:
— Miałem pecha! Pomyliłem dni...

Jeden z pracowników Biblioteki Uniwersyteckiej, chcąc skorzystać ze zbiorów ossolińskich jeszcze przed oficjalnym otwarciem książnicy, a więc przed wrześniem 1947 r., napi-

sał podanie: „Do Czcigodnej Dyrekcji Biblioteki Ossolineum (...) Jak najuprzejmiej proszę o łaskawe wypożyczenie mi książki potrzebnej do moich badań naukowych (...) Nisko kłaniając się, oczekuję przychylnej decyzji." Z pismem tym zjawił się u dyrektora Antoniego Knota, prosząc o poparcie. Ten, przeczytawszy je, wykrzyknął:
— Panie, przecież dyrektor książnicy Ossolineum nie jest proboszczem! Proszę nadać pismu inną formę.
Po wielu miesiącach, tenże pracownik przyniósł do Naczelnego podanie „w starym stylu" („Czcigodna Dyrekcjo..." itd.), a wręczając je, oświadczył:
— Tym razem nic nie zmienię, bo prośba moja skierowana jest do Pana.

Prof. Alodia Kawecka-Gryczowa, kontynuatorka dzieła Kazimierza Piekarskiego w zakresie badań nad dawną książką polską, zawitała także do Wrocławia. Jej plany badań na Śląsku nie zawsze pokrywały się z zamierzeniami dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej. Kiedy podczas konferencji doszło do ożywionej dyskusji, dr Bronisław Kocowski, kierownik Oddziału Starych Druków, szepnął zwierzchnikowi:
— Panie dyrektorze, musimy zgodzić się z propozycjami prof. Gryczowej, ponieważ ona realizuje testament Kazimierza Piekarskiego.
— No i słusznie — odpowiedział dr Knot. — Tylko zapomniał pan, że Ziemie Odzyskane zostały przyłączone do Polski po jego śmierci.

10 listopada 1946 r. w Czytelni Głównej Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu odbyło się walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Ossolineum. Przybyło wówczas szereg osobistości z całej Polski, m.in. prof. Stanisław Łempicki, mistrz dra Antoniego Knota. Profesora, który miał przybyć autem, oczekiwał w holu pracownik Biblioteki. Niestety, nie znał on wszystkich gości i na stojącą przed Książnicą ciężarówkę nie zwrócił specjalnej

uwagi, chociaż jeden z jej pasażerów wysiadł i wszedł do Biblioteki. Uprzejmie jednak wchodzącego zapytał, czego sobie życzy. Okazało się wówczas, że był to właśnie Stanisław Łempicki. Speszony kolega oświadczył, iż według informacji dyrektora spodziewał się przyjazdu Profesora autem, a nie ciężarówką.
— Pana zwierzchnik nic się nie zmienił — odparł na to Profesor — w dalszym ciągu jest niepoprawnym kolorystą...

Zdarzały się także błędy nadgorliwości. Młoda bibliotekarka, na przysłanej fotokopii pierwszego zdjęcia drugiej strony księżyca — przedstawiającej lśniące, czarne obrzeża, a w środku dużą, białą tarczę z lekkimi zaciemnieniami kraterów — przybiła pospiesznie pieczątkę własnościową Biblioteki prosto „w serce" fotokopii. Wywołało to zrozumiałe oburzenie astronomów. A kiedy winowajczyni stanęła przed dyrektorem Książnicy, usłyszała:
— Znowu powiedzą na Uniwersytecie, że wszędzie pchamy się pierwsi i Biblioteka jest już na niewidocznej stronie Księżyca! *

W lipcu 1946 r., pod eskortą wojskową od Przemyśla, przyjechały zbiory Ossolineum do Brochowa. Na stacji oczekiwali przyjazdu pociągu między innymi: generał Stanisław Popławski, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej dr Antoni Knot, zasłużony pracownik lwowskiej Książnicy dr Franciszek Pajączkowski oraz dziennikarze. Gdy pociąg stanął na stacji, gen. Popławski zwrócił się do dra Knota z propozycją:
— Nu, a teraz zaśpiewamy, dyrektorze „Nie brocim ziemi, skąd nasz ród..."

---

* Ze wspomnień... T[eresa Osiecka], Życie Uniwersytetu..., op. cit. s. 6

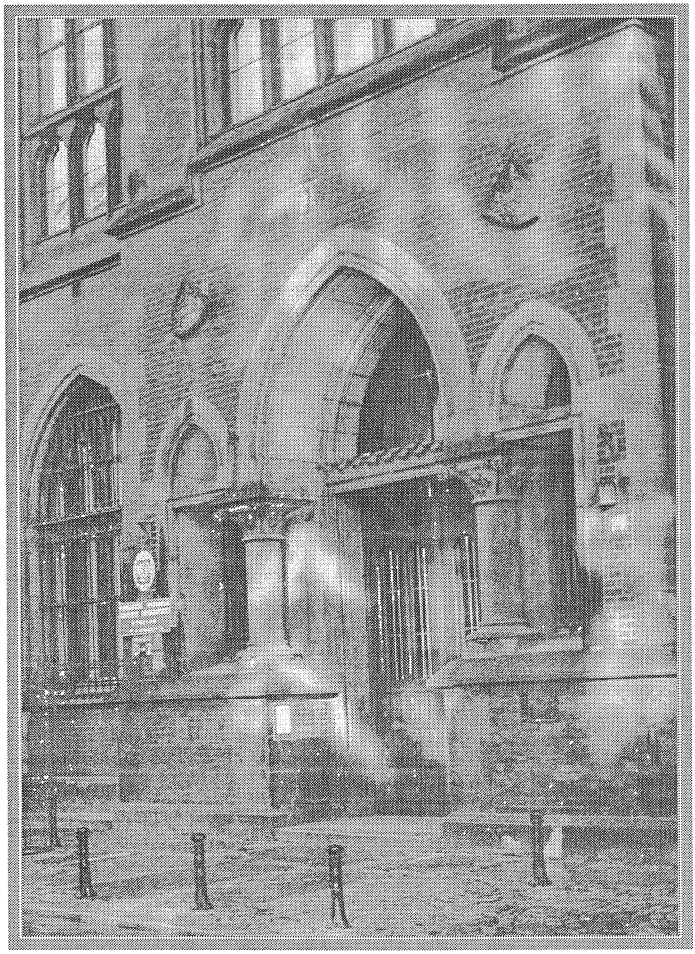

Biblioteka Uniwersytecka przy ul. Szajnochy 7/9
(w malowniczych promieniach słońca…)

Podczas zwiedzania wrocławskiej Książnicy Uniwersyteckiej przez wycieczkę bibliotekarzy z Krakowa, jeden z jej uczestników zapytał:
— Czy wszystkie przedsięwzięcia w Bibliotece mają matejkowski wymiar?
A gdy zaskoczony pytaniem przewodnik dał wyraz swemu zdziwieniu, krakowianin powiedział:
— Proszę popatrzeć na wymiary tableau, które wisi w korytarzu obok dyrekcji...

Z końcem lat czterdziestych i początkiem pięćdziesiątych, kiedy zaczął się odradzać ruch bibliofilski, do Wrocławia często zjeżdżali jego admiratorzy. Zawitał m.in. także Julian Tuwim. Spodziewając się przyjazdu poety, dyrektor Biblioteki dr Antoni Knot już przy wejściu do gmachu zagadnął portiera, czy nikt się o niego nie pytał. Na co otrzymał odpowiedź:
— Był z Warszawy pan Tuwima, ale już go ni ma!

Prof. Jerzy Kowalski, pełniąc funkcję Dziekana Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, przyszedł pewnego dnia do Czytelni Głównej Biblioteki, poprosił o miejsce przy oknie i uśmiechając się, pokazał spis wykładów, mówiąc:
— Muszę odpocząć, gdyż przy wydawaniu „tego dzieła" napracowałem się jak nigdy w życiu, biegając od profesora do asystenta...

Dyrekcji Biblioteki Uniwersyteckiej przekazano wiadomość, iż uczestnicy Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu (1948) wyrazili chęć zwiedzenia Książnicy. Postawiono zatem bibliotekarzy w pogotowiu i ustalając codzienne dy-

żury, poczyniono przygotowania na przyjęcie tak dostojnych gości. W wyznaczonym dniu miało miejsce „całodzienne czuwanie". Jednakże do późnych godzin popołudniowych nikt się nie zjawił. Zawiedzeni „dyżurni" już się zbierali do opuszczenia posterunku, gdy nieoczekiwanie przyszedł prof. Jerzy Kuryłowicz i przepraszając, oznajmił, że obrady kongresu przeciągnęły się, a goście bezpośrednio udali się do „Monopolu" i są już w takim nastroju, że na pieszy spacer do Biblioteki trudno ich namówić. Wówczas dr Opatrny zaproponował:
— A może by ich przywieźć...?

Prof. Henryk Szarski był stałym i bardzo lubianym czytelnikiem Biblioteki Uniwersyteckiej. Nawet jako Magnificencja „wpadał" do Książnicy, by popracować przy „swoim" stole pod oknem. Kiedy w niedługim czasie — po wyborze na rektora uczelni — pracownicy czytelni składali Mu gratulacje i życzenia, dziękując, powiedział:
— Drodzy państwo, upłynęły zaledwie dwa tygodnie od mojego wyboru, a już doświadczyłem, że im wyżej, tym gorzej...

W pierwszych latach funkcjonowania Czytelni Głównej Biblioteki, księgozbiory podręczne w Lectorium chronione były przez otaczające je balustradki i nikt nie marzył o wolnym dostępie do półek. Wyjątek stanowili pracownicy naukowi Uniwersytetu, którzy po uprzednim zgłoszeniu się do dyżurującego bibliotekarza mogli uzyskać zgodę na — jak się wówczas mówiło — swobodne „buszowanie" po półkach. Jednym ze stałych czytelników Biblioteki był wtedy młody, wysportowany filolog klasyczny Bronisław Biliński, który prosto od drzwi wejściowych zdążał do regałów i zgrabnie przeskakując balustradki, wspinał się po drabinie, szukając interesujących go książek. Pech chciał, że w czytelni pełniła dyżur koleżanka nie będąca absolwentką Uniwersytetu Wrocławskiego.

Widząc zatem „intruza", podeszła do niego szybkim krokiem i zapytała, czy posiada kartę biblioteczną i czy jest studentem Uniwersytetu. Na co usłyszała spokojną odpowiedź:
— Niestety, nie jestem studentem Uniwersytetu. Jestem jego prorektorem. *

Prof. Jerzy Kuryłowicz, światowej sławy uczony, autor licznych prac z dziedziny językoznawstwa indoeuropejskiego, wykładając w latach czterdziestych na Uniwersytecie Wrocławskim, dość często odwiedzał Bibliotekę Główną. W czasie jego pobytu w Książnicy, jedna ze studentek skarżyła się Mistrzowi, iż nie może się „wbić" na wykłady przez niego prowadzone.
— Patrząc na po brzegi wypełnioną salę — odparł Profesor — ja też jestem zaskoczony, że tyle osób nie lubi chleba z masłem...

Prof. Henryk Wereszycki, pracując na Uniwersytecie Wrocławskim, dość często odwiedzał Bibliotekę Główną. Któregoś dnia, zwracając książki, tuż przy stoliku dyżurnego „zderzył się" z również oddającą książki studentką. Skłoniwszy się z uśmiechem, pięknie ją przeprosił, a dyżurującej bibliotekarce oświadczył, że nigdy by tej młodej damy nie zatrudnił na asystenturze. Kiedy padło pytanie dlaczego i zapewnienie, że to taka pracowita dziewczyna, odpowiedział:
— Być może, ale za ładna!

Na początku lat pięćdziesiątych, jako czytelnik, dość często odwiedzał Bibliotekę Uniwersytecką filolog klasyczny, kolega uniwersytecki prof. Karola Głombiowskiego, dr Tadeusz Brzostowski. Przyjeżdżał z Warszawy, zbierając wówczas mate-

* Ze wspomnień... E[lżbieta Stańdowa]. Życie Uniwersytetu... op. cit. s. 6.

riały do badań nad Ezopem. Pewnego dnia, będąc w „Katalogach", zagarnął skrzynkę, do której pracujący tam aktualnie bibliotekarz chciał włączyć nowe kartki. Pracownik Książnicy krążył więc wokół dra Brzostowskiego, lecz ten nie reagował. W końcu poirytowany bibliotekarz wykrzyknął:
— Fugit irreparabile tempus! Czy pan wie, co to znaczy? Czas bezpowrotnie ucieka!
Wtedy dr Brzostowski spokojnie podniósł oczy i rzekł:
— Drogi przyjacielu, kiedy przytacza się cytaty w obcym języku, to zakłada się, że obecni je rozumieją, a jeśli nie ma ktoś tej pewności, to od razu mówi po polsku.

W latach pięćdziesiątych, zgodnie z zarządzeniem dyrekcji Biblioteki Uniwersyteckiej, wszyscy bibliotekarze nie posiadający egzaminu państwowego zobowiązani byli do składania kolokwium z przygotowania fachowego. Decyzji tej podlegał także — zatrudniony czasowo w Książnicy — profesor Andrzej Mycielski. Jego egzaminatorem był kustosz Alojzy Florczak, który dowiedziawszy się kogo będzie pytał, ogromnie się speszył, denerwując się, jak to wypadnie. Poradzono mu przede wszystkim uprzątnięcie pokoju (gdyż były tam „książki nad tobą i książki pod tobą") i podjęcie zdającego herbatką, na co wyraził zgodę. Panowie rozmawiali ze sobą ponad dwie godziny. Kiedy profesor opuścił pokój szefa i zapytano go, jak mu „poszło", odpowiedział:
— To bardzo inteligentny kierownik działu. Z historii kultury zdał celująco.
A zapytany o to samo kustosz, odrzekł:
— Cały czas trwania kolokwium bałem się, aby nie strzelić gafy!

Kolega S., udając się po pracy na uroczystość rodzinną, przyszedł do Biblioteki w „galowym" stroju. Widząc to, profesor Mycielski dyskretnie podchodzi do niego i pyta:
— Czy panu naprawdę tak ciężko się żyje?

A kiedy pan S. zdziwił się, któż to takie rzeczy rozgłasza, Profesor spokojnie odpowiedział:
— O tym nie trzeba mówić. Ja to widzę, gdyż największe ubóstwo jest wtedy, gdy się przychodzi do pracy we fraku...

Za czasów kierownictwa kustosza Alojzego Florczaka, w „Katalogu Systematycznym" pracowali m.in. dwaj prawnicy: prof. Andrzej Mycielski i dr Karol Lewalski. Przy śniadaniu obaj panowie prowadzili profesjonalną dysputę. Kiedy Profesor odchodził z Biblioteki, dr Lewalski pożegnał go słowami:
— Panie Profesorze, nigdy nie przypuszczałem, że będę w tej Książnicy miał takie ciekawe seminaria...

*W tym **„wspomnieniowym cyklu"***
pozwolę sobie przytoczyć również anegdoty z lat studenckich,
związane z wykładami prof. Tadeusza Mikulskiego.
Przytaczam je nie tylko jako słuchaczka wykładów Mistrza, ale także po to,
by przybliżyć postać Przyjaciela bibliotekarzy, który sam spędził
parę lat pracy przy tym warsztacie w Bibliotece Narodowej.
Znane są jego związki z Książnicą Ossolińskich, natomiast niewiele osób
pamięta Profesora jako doradcę, czytelnika i wykładowcę,
w pierwszych powojennych latach korzystającego z pomieszczeń
Biblioteki Uniwersyteckiej.
Skromny księgozbiór bibliotek katedralnych sprawił,
iż „wykładoćwiczenia" z nauk pomocniczych
— a więc poznawanie całego aparatu bibliograficznego —
odbywały się — w pierwszych latach — w Czytelni Głównej Biblioteki.

Zdarzyło się kiedyś, że bezpośrednio po proseminarium, które odbywało się w Czytelni Głównej Biblioteki Uniwersyteckiej, studenci gromadnie szli do teatru, pośpiesznie opuszczając sale. Profesor został jeszcze „na chwilę", aby skorzystać z książek przyniesionych z magazynu. Ponieważ miał „stołowe" oświetlenie, nie zauważył, że „sufitówka" zgasła, a dyżurujący bibliotekarz opuścił miejsce pracy. Dopiero po głośnym zamknięciu drzwi wejściowych Profesor zorientował się w sytuacji. Czym prędzej podbiegł do okna i otworzył je, co natychmiast spostrzegł wychodzący portier, groźnie pytając:
— Co pan tu robi?
— Badam przedpole — spokojnie odpowiedział Profesor.

W pierwszych latach po wojnie — jak już wcześniej wspomniano — prof. Tadeusz Mikulski dość często odwiedzał Bibliotekę Uniwersytecką. Ulubionym jego miejscem w Czytelni Głównej był stół przy oknie od strony ulicy Kazimierza Wielkiego, która nie spełniała jeszcze roli obwodnicy. Staraliśmy się zawsze, aby zamówienia Profesora były realizowane szybko. Ale i przy najlepszych chęciach zdarzają się potknięcia... Pewnego razu zamiast tomiku poezji Franciszka Karpińskiego przyniesiono Mistrzowi „Bogurodzicę". Kiedy zauważyliśmy pomyłkę, Profesor uśmiechnął się i rzekł:
— Pierwszy raz, w naszym warszawskim mieszkaniu, śpiewał mi „Bogurodzicę" Józef Birkenmajer. We Wrocławiu, na Oporowie, Jerzy Woronczak. A w Bibliotece Uniwersyteckiej podsuwają mi tę pieśń, abym sam zaśpiewał...

Wykłady prof. Tadeusza Mikulskiego odbywały się przy szczelnie wypełnionej sali. W cyklu wykładów oświeceniowych przypadła kolej na Kniaźnina. Mistrz, rozłożywszy starannie notatki, rozpoczął:

— Kniaźnin, jak przeważnie każdy młody poeta, zaczął od ód.
I nim nastąpił ciąg dalszy, swawolny słuchacz z ostatniego rzędu odezwał się:
— Czy tylko Kniaźnin i czy tylko poeta...
Na sali zapanowała kłopotliwa cisza. Po dłuższej chwili ponownie odezwał się Profesor:
— Proszę państwa, po tej małej dygresji, znowu o Kniaźninie.

W latach pięćdziesiątych w Bibliotece pracowali profesorowie „przeniesieni" z katedr do Książnicy. Wśród nich znalazł się prof. Marian Morelowski, który wraz z panią Wandą Reychmanową, matką prof. Jana Reychmana i siostrą prof. Wacława Olszewicza, pracowali w Gabinecie Ikonograficznym. Oboje znakomicie mówili po francusku, a podczas organizacji wystaw dołączał do nich młody podówczas romanista Jerzy Adamski. Jakiś dowcipniś, słysząc to ciągłe „parlowanie", przykleił na drzwiach kartkę z napisem: „W tym pokoju mówi się wyłącznie po francusku". Przy okazji walnego zebrania ZOZ-u zauważono, że nie ma na sali prof. Morelowskiego i pani Reychmanowej. Natychmiast wysłano nowo przyjętego gońca, aby ich poprosił na posiedzenie. Ten po dłuższej chwili wraca, meldując przewodniczącej:
— Przeczytałem kartkę, że tam mówi się tylko po francusku. To ja się z nimi nie dogadam!

Do Oddziału Czasopism, w którym aktualnie pracowałam, dość nieoczekiwanie przyszedł dr Aleksander Rombowski i poprosił o chwilę rozmowy. Zaciekawiona, pytam w jakiej sprawie, a on cicho przedstawia cel swego przybycia:
— Dzwonił do mnie z Warszawy kolega W., który pojechał załatwiać ważne sprawy urzędowe, zabierając przy okazji parę egzemplarzy mojej publikacji pt. „Ludycje wiesne, zabytek literatury ludowej z połowy XVI w." (1953) Miał je rozprowadzić według listy

Naczelnego, z której m.in. wynikało, iż 1 egzemplarz powinien otrzymać Józef Cyrankiewicz. Natomiast nazwisko prof. Juliana Krzyżanowskiego zostało na liście pominięte. Kolega W. naprawił to niedopatrzenie, wręczając „Ludycje wiesne" Profesorowi, a skreślając z listy premiera. Wskutek czego prosił mnie o radę: czy ma wracać do Biblioteki, czy powinien szukać innej posady?

W czasach stalinowskich, kiedy wielu profesorów musiało opuścić katedry, niektórzy z nich trafili do Biblioteki. Któregoś dnia, w okresie karnawału, profesor M. przychodzi do pracy we wspaniałym humorze i już od progu oznajmia swoim współpracownikom, że zrobił furorę na balu kostiumowym. Wystąpił tam jako bibliotekarz — w fartuchu, w zrobionej z gazety maseczce i z przepisami katalogowania w ręku...

Pani prof. Maria Burbianka była osobą niezwykle cierpliwą i wyrozumiałą, szczególnie dla studentów zaocznych. Jedna ze słuchaczek katedry Bibliotekoznawstwa wyjątkowo zdawała egzamin „na raty". Po jej którymś z kolei podejściu, wychodząc z gabinetu, pani Profesor oświadczyła:
— Powiadają ludzie, że do trzech razy sztuka, a moja studentka pokazała, iż do siedmiu. Wreszcie ją nauczyłam i mogłam postawić pozytywny stopień!

Jednym z bardziej niecierpliwych czytelników Biblioteki Uniwersyteckiej był prof. Karol Maleczyński. Siedząc w czytelni, szybko wypisywał rewersy i żądał ich natychmiastowej realizacji. Zdarzyło się kiedyś, że zamiast książki magazynier przyniósł mu z powrotem zamówienie z adnotacją: „wypożyczyła

prof. Ewa Maleczyńska". Na to Profesor zwrócił się do bibliotekarza z prośbą, aby natychmiast wysłane zostało upomnienie...

W latach 1945 - 1953 duży procent pracowników Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu stanowili studenci, którzy z biegiem czasu zdobywali dyplomy magisterskie. W pierwszych latach po wojnie przewodniczącym komisji egzaminacyjnej na Wydziale Humanistycznym był prof. Edmund Bulanda, były rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza — osobistość znana pracownikom Książnicy. Pan Michał Fernezy, starszy magazynier rodem ze Lwowa, widząc „młodych dyplomowanych", miał zwyczaj pytać, kto przewodniczył komisji na egzaminie magisterskim. A kiedy w odpowiedzi padało nazwisko prof. Edmunda Bulandy, uśmiechał się, mówiąc:
— O, to bardzo dobrze, bo to jakby doktoraty wam wręczono!

Na jednym z wyborczych zebrań ZOZ-u Uniwersytetu Wrocławskiego delegatka z Biblioteki zdrowo przysnęła. Po jakimś czasie ktoś ją delikatnie budzi. Przerażona, widzi przed sobą profesora S., zaczyna więc tłumaczyć się chwilowym zmęczeniem. Na co Profesor, uśmiechając się, mówi cichutko:
— Ja chciałem koleżankę tylko przestrzec. Ja też dwa lata temu usnąłem na podobnym zebraniu i jak się obudziłem, to usłyszałem, że zostałem wybrany prezesem ZOZ-u.

Exodus pracowników naukowych z Uniwersytetu w latach pięćdziesiątych był dość powszechny. Do Biblioteki trafiali nie tylko profesorowie, pozbywano się także asystentów. Tą drogą trafił do Książnicy Uniwersyteckiej również dr Marian Smereka, który — podobnie jak „przydzieleni" tu profesorowie — po

paru latach przestał być bibliotekarzem, wracając do zawodu nauczycielskiego. W czasie jego pracy w Bibliotece bardzo modne były zjazdy bibliotekarskie. Wyjeżdżały na nie całe ekipy. Organizatorem jednej z takich „ekip" został dr Marian Smereka. Zapytany przez dra Bronisława Kocowskiego, po co „taki tłum" jedzie, odpowiedział krótko:
— Klaskać Tacie.

Profesor F., były pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej, słynął z poczucia humoru. Powszechnie znane w Książnicy były także jego dobre stosunki z Kurią Wrocławską, co ośmieliło jedną z koleżanek prosić go o protekcję na „Wyspie Piaskowej". Chodziło o katolicki pogrzeb męża jej sąsiadki, który zmarł, nie przyjąwszy sakramentów świętych, i proboszcz ich parafii nie wyraził zgody na udział księdza w jego ostatniej ziemskiej drodze. Kolega bez wahania udał się do kurii. Sprawę załatwił pomyślnie i postanowił decyzję władz wyższych osobiście przekazać plebanowi. Pojechał więc do księdza proboszcza, a wręczając mu list, oświadczył:
— Gdyby pan F. zmarł nagle w Paryżu podczas swawolnego przyjęcia, nie stanowiłoby to przeszkody, aby sam ks. biskup prowadził jego kondukt żałobny.
— A kto to jest ten pan F.? — zapytał nieco speszony kapłan.
— Tym panem F. — padła odpowiedź — jestem ja!

Na jednym ze zjazdów Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich był obecny Julian Przyboś, aktualny podówczas dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej. Na salę obrad wkroczył nieco później, kiedy prelegent wygłaszał już referat na temat nowelizacji przepisów katalogowania. Z zachowania pana dyrektora niedwuznacznie wynikało, że sprawa ta go nie interesuje. W pewnym momencie, śmiertelnie znudzony, rzekł do sąsiada półgłosem:

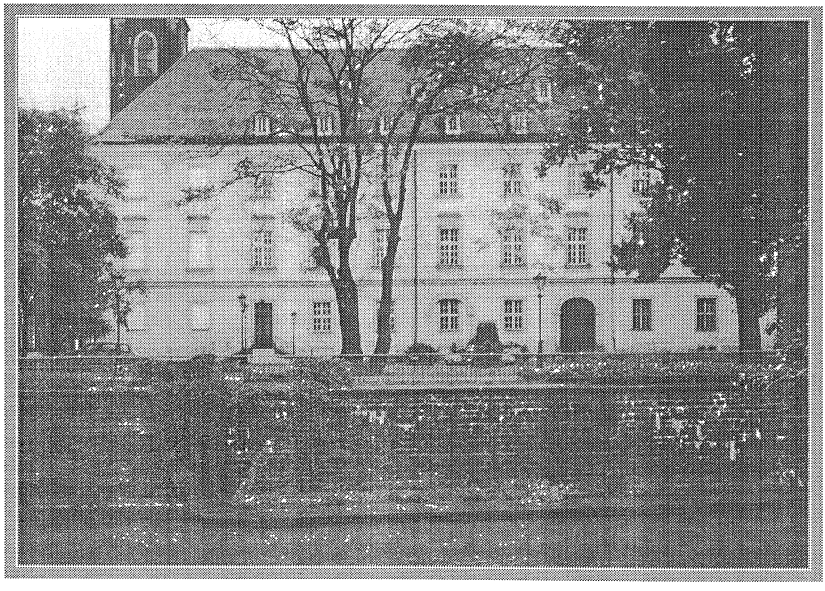

Biblioteka Uniwersytecka „Na Piasku"
(od strony Odry)

— Co mam robić? Wysiedzieć trudno i wyjść nie można...

W Bibliotece Uniwersyteckiej „Na Piasku" w czasie przerwy „na papierosa" przy jednym stoliku na korytarzu siadali: dr Mieczysław Walter, książę Adam Czartoryski z „Rękopisów" i parę osób z innych działów. Książę Adam Czartoryski opowiadał o swoich przedwojennych wojażach, o pobytach w słynnych europejskich uczelniach. W pewnej chwili dr Walter przerwał mu opowiadanie, pytając dlaczego, będąc w tak znakomitych uniwersytetach, nie zrobił magisterium i dopiero teraz zdobywa stopień magistra w Katedrze Filologii Klasycznej Uniwersytetu Wrocławskiego.
— Wie pan, panie kierowniku — spokojnie odpowiedział zapytany — nie przyszło mi to wówczas do głowy...

Od koniec lat czterdziestych, kiedy Wydawnictwo Ossolineum zostało przeniesione z Krakowa do Wrocławia i początkowo znalazło „przytulisko" w gościnnym pomieszczeniu budynku Biblioteki Uniwerstyteckiej przy Placu Solnym 13, funkcję szofera w tej szanowanej instytucji pełnił przez pewien czas hrabia Z. Jednym z wiceprezesów TPO był wówczas Jerzy Borejsza. Kiedyś, z okazji posiedzenia zarządu, odwiedził on Wrocław, a z dworca do hotelu podwiózł go hrabia Z. Pan prezes uhonorował go napiwkiem. Obdarowany, nieco zaskoczony, przyjął jednakże pieniądze, chuchnął na nie, po czym schował do kieszeni. A gdy wrócił do Wydawnictwa, oświadczył:
— Mówią, że „najważniejsza to Borejsza". A ja dodam, że najhojniejsza jest Borejsza!

Jan Parandowski, pisząc biografię Petrarki, wysłał kwerendę do Biblioteki Uniwersyteckiej, pytając jakie posiada pozycje dotyczące autora „Sonetów do Laury". Koleżanka załatwiająca kwerendę odpisała, iż w zbiorach Biblioteki znajdują się m.in. „Epistolae secretae". Pisarz poprosił o natychmiastowe wypożyczenie tej książki. Niestety, bezpośrednie zapoznanie się z drukiem przyniosło rozczarowanie. Było to bowiem „Epistolae selectae"... Na pokorne przeprosiny odpowiedzią był serdeczny list Jana Parandowskiego, uczący patrzeć z humorem na własne potknięcia. *

Na jednym z zebrań Ligi Kobiet, któremu przewodniczyła pani S., żona profesora naszego Uniwersytetu, uczestniczki posiedzenia postanowiły wypowiedzieć wojnę mężczyznom. Atmosfera posiedzenia była gorąca. W czasie burzliwej dyskusji jedna z asystentek poprosiła o głos i oświadczyła, że ona nie wie po co w ogóle są mężczyźni. Na co przewodnicząca spokojnie odpowiedziała:
— Koleżanko, jak już są, to niech będą...

Kiedy wicedyrektor Biblioteki Stefan Nawara prowadził rozmowę w budynku przy ul. Szajnochy 10, echo odpowiadało mu przy ul. Szajnochy 7/9. Pewnego razu dyrektor Książnicy polecił woźnemu, aby natychmiast w pilnej sprawie sprowadził jego zastępcę. Po dłuższej chwili woźny zjawia się i melduje:
— Panie dyrektorze, przebiegłem oba gmachy i nikt go nie słyszał!

---

* Ze wspomnień... T[eresa Osiecka], Życie Uniwersytetu..., op. cit. s. 6

Pani Zofia Gostomska — pionierka, pierwsza kierowniczka Gabinetu Śląskiego, biorąca czynny udział w akcji zabezpieczania zbiorów — miała w 1945 r. zezwolenie na posiadanie broni. Kiedy w 1946 r., razem z rektorem Stanisławem Kulczyńskim, wracała z Warszawy, po egzaminie na bibliotekarza dyplomowanego, Jego Magnificencja zapytał ją, czy celniej strzela, czy zdaje.
— Strzelam — odparła bez wahania.

W grupie osób statecznych i dojrzałych w Książnicy była koleżanka, która w szczególny sposób celebrowała śniadania. Obserwując to niecodzienne zachowanie pracowniczki, kierownik oddziału dr Karol Heintsch umieścił nad jej biurkiem następującą rymowankę:

Niech się wali cały świat,
niech umiera matka, brat,
a ja wiem, że ja jem!

Po niefortunnym przeniesieniu Oddziału Udostępniania Zbiorów z budynku przy ul. Szajnochy 7/9 do budynku obok, czytelnicy byli bardzo niezadowoleni. Nowe Lectorium okazało się nie tylko za małe, ale miało również zbyt słabe oświetlenie dzienne. Mieściło się ono w dolnej części dawnej hali banku i schodziło się do niego parę stopni w dół. Pani prof. Helena Więckowska, oglądając nową lokalizację Oddziału Udostępniania Zbiorów, w czasie swego pobytu we Wrocławiu, powiedziała:
— Jak widzę, czytelnictwo w Bibliotece Uniwersyteckiej przeszło do podziemia...

Do kierownika Oddziału Udostępniania Zbiorów przychodzi nowo przyjęty magazynier i oznajmia, że z koleżanką X nie będzie dyżurował w niedzielę, ponieważ ona siedzi na katedrze jak dama, jego biorą za dyrektora, a kto będzie podawał książki?

Mgr Maria Rotterowa, polonistka, kierownik Oddziału Informacji, pracując długie lata jako nauczycielka, do interesantów podchodziła z dużym wyczuciem pedagogicznym. Gromadnie przychodzili do niej abiturienci, notując każde słowo „wykładu", a zapytani dlaczego tak skrupulatnie „stenografują", odpowiadali:
— Bo nie musimy już iść do czytelni...

Na początku lat pięćdziesiątych jeden ze stałych bywalców Biblioteki zajmował się twórczością Tomasza Manna. Długie, długie godziny spędzał w Czytelni Głównej, a gdy przyszedł już z maszynopisem pracy, zapytano go czy oddaje ją do druku.
— O, nie! — odpowiedział. — Teraz nie będę jej drukował. Tomasz Mann jeszcze żyje i mógłby wielu rzeczom zaprzeczyć.

Wiersze okolicznościowe płynęły spod pióra Jerzego Łanowskiego wartko jak woda w górskim potoku, czego mieli szczęście doświadczyć także bibliotekarze. Po okolicznościowym zgromadzeniu w Książnicy, w którym Profesor również brał udział, jedna z koleżanek skrupulatnie zebrała „dorobek" posiedzenia, a następnego dnia odczytała go w „Katalogach". Rozbawieni słuchacze nie spostrzegli wejścia „w dolne rejony" Dyrektora. Ten, usłyszawszy „coś niecoś", zauważył z przekąsem:

— Państwo pilniej czytają Łanowskiego niż rozporządzenia dyrekcji.
— Bo są dowcipniejsze — odpowiedział jeden ze śmiałków.

Profesor W., wszedłszy do Czytelni Głównej w czasie sesji egzaminacyjnej, rzekł do towarzyszącego mu asystenta:
— Proszę, niech pan kolega zobaczy, co w tym socjaliźmie się dzieje! Same białogłowy na sali! Kto będzie rodził dzieci, które powinny czytać książki przez nas napisane?

Dr Mieczysław Walter, będąc kierownikiem Oddziału Rękopisów, dość często miewał „indywidualne" podejście do poleceń szefów. Któregoś dnia, niezadowolony z rozporządzenia dyrekcji, pobiegł do kustosza Oddziałów Specjalnych, aby zaprotestować. Funkcję naczelnego kustosza sprawował wówczas dr Bronisław Kocowski, który chcąc przerwać rozmowę, powiedział:
— Ty wiesz, Miecio, dobrze, że z rozkazami przełożonego się nie dyskutuje.
— Wiem — odparł kierownik Oddziału Rękopisów — i dlatego nie zostałem wojskowym.

W latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych funkcję magazyniera w Czytelni Głównej Biblioteki pełnił Jan Miedziński. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, zawsze schludnie ubrany i patrzący na studentów „z wysoka". W czytelniach nie wprowadzono jeszcze wtedy wolnego dostępu do półek. W czasie dyżuru, po podaniu książki studentce, Jan Miedziński wyszedł na papierosa. Po wykorzystaniu lektury, czytelniczka

stanęła przed „katedrą". Zapytana przez bibliotekarza, czego sobie jeszcze życzy, odpowiedziała:
— Ja czekam na pana dyrektora, bo on był łaskawy podać mi książkę i jemu chcę ją zwrócić.

Słynna biblioteczna stołówka, zorganizowana przez Zofię Skałową w latach pięćdziesiątych, obsługiwała także pracowników Uniwersytetu. Spécialité de la maison były pierogi ruskie. Wszystkie damy biblioteczne brały udział w ich lepieniu. Zdarzyło się kiedyś, iż koleżanka z Czytelni Czasopism wyszła na chwilę, zostawiając w drzwiach kartkę z napisem „Zaraz wracam". Nieznany czytelnik dopisał: „Dziś w stołówce pierogi ruskie..."

Szkolenia z marksizmu i leninizmu nie ominęły bibliotekarzy. Prowadzono je na specjalnych wykłado-ćwiczeniach, kończących się egzaminami. Egzaminatorem był wówczas prof. Kazimierz Kocot, a jego „asystentem" — przedstawiciel bibliotecznej komórki partyjnej. Pierwsza wg kolejności alfabetycznej zdawała dr Marta Burbianka, której — po przepytaniu — profesor zaproponował miejsce za stołem w charakterze przedstawicielki zdających. Zdawaliśmy parami. Ja stanęłam przed komisją z drem Aleksandrem Rombowskim. On odpowiadał pierwszy. Profesor Kocot, uśmiechając się przyjaźnie, zadał mu pytanie. Zapanowała grobowa cisza. Wtedy profesor powoli zaczął sam na nie odpowiadać, a dr Burbianka zwróciła się do delikwenta:
— Panie kolego, proszę się nie peszyć! Należy powtórzyć głośno to, co przed chwilą cicho mówił profesor Kocot, bo taka jest prawidłowa odpowiedź...

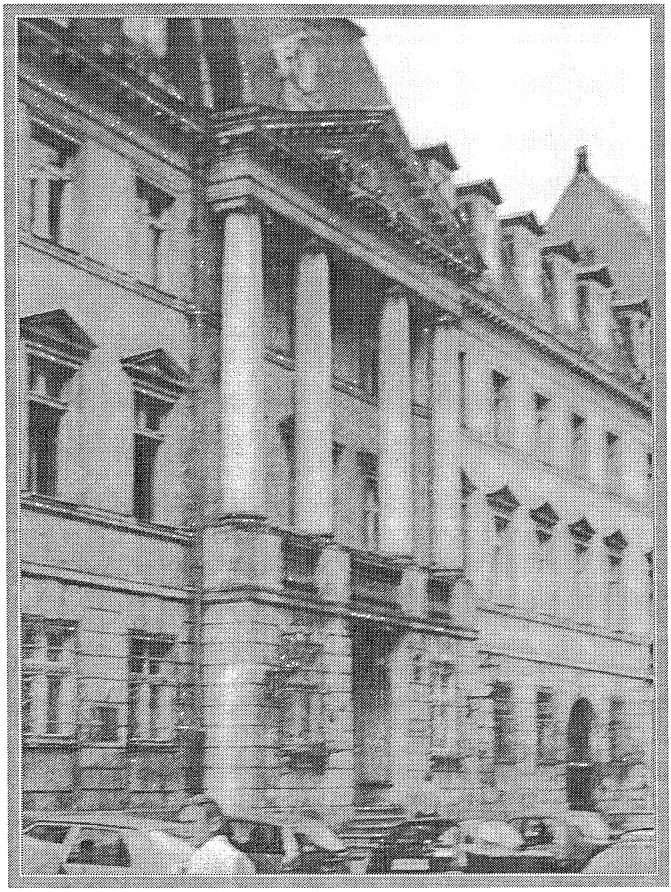

„Bibliotheca Nova" przy ul. Szajnochy 10

Przy porządkowaniu zbiorów zabezpieczonych pracowali m.in. dwaj studenci. Jednego z nich ówczesny kierownik Oddziału Starych Druków dr Bronisław Kocowski polecił wezwać do siebie. Młody bibliotekarz, wykonujący rozkaz szefa, zapytał:
— Którego mam przyprowadzić? Tego, co się czesze grzebieniem, czy tego, co się czesze palcami...

W ramach szkoleń bibliotecznych dr Karol Heintsch, kierownik Oddziału Udostępniania Zbiorów, wygłaszał odczyt na temat pracy w prowadzonym przez siebie dziale. Pełniąc dyżur w Czytelni Głównej, nie mogłam być na odczycie szefa, a zatem po „imprezie", zapytałam jak poszło.
— Doskonale — odpowiedział. — Dyrektor przyniósł „całą teczkę" nowych dowcipów i co najmniej pół sali bawiło się znakomicie, a druga połowa była zła, że nie mogła ich dosłyszeć.

W 1945 r. zwożono do Biblioteki ewakuowane przed oblężeniem Wrocławia na prowincję liczne księgozbiory. Na te „wyprawy" najczęściej jeździli z Książnicy: Zofia Gostomska, Stefan Nawara oraz szofer i jego pomocnik. Podczas jednego z „rejsów", na prośbę wrocławskiego proboszcza, zabrano także dwa świątki, po których odbiór zgłosił się wikary. Przy ich wyładowywaniu, aby zapobiec uszkodzeniu, szofer instruował kolegę:
— Chwyć ją za piersi!
Słysząc to, ksiądz spokojnie skorygował:
— Nie za piersi, nie za piersi! To święty Jan.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych w Czytelni Głównej Biblioteki pracowali: Karol Heintsch i Karol Głombiowski. Koledzy udający się do Lectorium często mówili, że idą do „Carolineum". Podczas praktyk wakacyjnych młodej studentce polecono przynieść na chwilę książkę z „Carolineum". Ta, nieco zdziwiona, stwierdziła, że w żadnej dotychczas jej znanej bibliotece z takim działem się nie spotkała.

Jeden z czytelników, chcąc uzyskać ponowną prolongatę na wypożyczone książki, przyszedł do kierownika Oddziału Udostępniania Zbiorów i przedstawił się od progu:
— Świeży jestem.
Kierownik uwzględnił jego prośbę i, podnosząc słuchawkę telefoniczną, aby skontaktować się z Wypożyczalnią Miejscową, mówi:
— Panie Świeży, proszę podać imię.
— Na imię mam Stanisław, nazywam się Nowakowski, a świeży to ja jestem jako czytelnik.

Dr Aleksander Rombowski, pracując w Czytelni Głównej, zwracał się do swego szefa dra Karola Heintscha per „panie doktorze". Któregoś dnia rozbawiony kierownik poprosił go, aby darował sobie tytuły, gdyż jak się dwóch szewców spotyka, to nie mówią do siebie per „panie szewcu"...

Kustosz Stefan Nawara, pełniący obowiązki wicedyrektora Biblioteki — z wykształcenia polonista, ale i... artysta plastyk — kiedy urządzał wystawy, miał zwyczaj ubierać się w biały fartuch. Zdarzyło się pewnego razu, iż jedna z czytelniczek zasłabła, o czym towarzysząca jej koleżanka powiadomiła dyżurną

bibliotekarkę. Ta natychmiast chwyciła za telefon, aby wezwać pogotowie, „informatorka" jednak zatrzymała jej rękę, mówiąc:
— Proszę pani, lekarz jest w Bibliotece! Widziałam, jak szedł na górę!

Kolega S., pełniący dyżur w Czytelni Czasopism, chciał na moment wyjść do sekretariatu. Poprosił zatem koleżankę pracującą obok, aby zerknęła na czytelnię. Ta, nie podnosząc oczu, oświadczyła:
— Dobrze.
Po chwili, podnosząc wzrok znad biurka, zobaczyła przed sobą stojącego kolegę.
— Pan nie wyszedł? — pyta zdziwiona.
— Nie — pada odpowiedź. — Chciałem się przedtem dowiedzieć, dlaczego „dobrze".

Wiecznie skwaszony, ale bardzo pracowity kierownik W. miał żal do całego świata i każdemu „łatkę" potrafił przypiąć. Na imieninach prof. Kocowskiego usiadł obok mojej szefowej prof. Marty Burbianki. Ta co chwila podsuwała mu największe czekoladki. Trochę zdziwiona, spytałam cichutko, czemu mu tak dogadza. W odpowiedzi usłyszałam:
— Słodycze poprawiają charakter. Może się zmieni...

Pracujący „Na Piasku" kolega F. potrafił wspaniale naśladować głos naszego „oberszefa" prof. Bronisława Kocowskiego. Chcąc spłatać współpracownikom figla, obchodził korytarze, stawał pod drzwiami gabinetów i inscenizował rozmowę zwierzchnika z drem Mieczysławem Walterem. Słysząc ją, pracownicy przerywali śniadanie i „ochoczo" powracali do swoich zajęć.

Pech chciał, że pewnego dnia w kilka minut po jego „pogwarkach", zjawiła się władza. Na stanowiskach byli wszyscy... z wyjątkiem kolegi F. Nie zastawszy go w pokoju, Profesor pyta, co się z nim dzieje, bo na liście obecności jest podpisany.
— Panie Profesorze — pośpieszyła z wyjaśnieniem koleżanka — on teraz ciężko pracuje. On pana wyręcza...

Na jednym z bibliotecznych zebrań omawiana była instrukcja przeciwpożarowa. Jej projekt w formie pisemnej został rozdany obecnym, celem naniesienia ewentualnych uwag. Jedna z koleżanek, zajęta rozmową z sąsiadką, położyła go na brzegu krzesła, po czym przysiadła i gwarzyła dalej. Nagle rozlega się donośny głos dyrektora:
— Widzę, że koleżanka W. przeczytała już instrukcję dogłębnie... Proszę zatem o podanie jej dalej!

Wiosenny deszczyk rozpadał się w majowe popołudnie, kiedy pracownicy Biblioteki kończyli urzędowanie i nie zwracając uwagi na kiepską pogodę, tłumnie opuszczali Książnicę. W drzwiach wejściowych pozostał jedynie kustosz F. Zapytany przez kolegę, dlaczego nie idzie do domu, odrzekł, że nie lubi deszczu. A kiedy współpracownik uprzejmie zauważył, iż kustosz trzyma przecież w ręku parasol, ten spokojnie odpowiedział:
— Ja zawsze go noszę, dla fasonu!

Jan Ogrzebacz, magazynier Biblioteki Uniwersyteckiej, Trylogię Sienkiewicza recytował z pamięci na zawołanie, często utożsamiając swoich zwierzchników i kolegów z jej bohaterami. Zapytany kiedyś przez kierownika Oddziału Udostępniania Zbiorów, jak mu się pracuje z nowo zatrudnionym magazynierem, odpowiedział krótko:

— Z Wołodyjowskiego to on ma tylko wzrost!

W pierwszym powojennym 10-leciu działalności Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, w murach Książnicy odbywały się intensywne lektoraty języków obcych. Pewnego dnia dyrektor spotkał „na papierosie" kolegę S., bawiącego czytelniczki rozmową, i zapytał groźnie:
— A pan co tu robi?
Kolega S. odpowiedział bez wahania:
— O ósmej miałem lektorat z rosyjskiego, następnie z angielskiego, potem z francuskiego, chciałem więc chwilę porozmawiać po polsku...

W czasach stalinowskich idea współzawodnictwa nie ominęła Biblioteki. Na tablicy ogłoszeń wypisywano nazwiska osób, które powinny pójść śladem Pstrowskiego. Jeden z „wezwanych" umieścił pod apelem odpowiedź: „Ten, co się nauczył czas służbowy trwonić, ten współzawodnictwem chce się dziś obronić!"

W latach 1953 - 1957, kiedy rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego był prof. Edward Marczewski, odwiedziło mnie w Bibliotece parę osób, prosząc o protekcję u Magnificencji. Moje oświadczenie, iż Rektor nie jest moim krewnym i że jest to tylko zbieżność nazwisk, wcale ich nie przekonywały. Po jednej z takich wizyt, przechodząc przez hol, usłyszałam rozmowę:
— Popatrz! To ona idzie. Widzisz jaka do niego podobna? A załatwić nie chce.

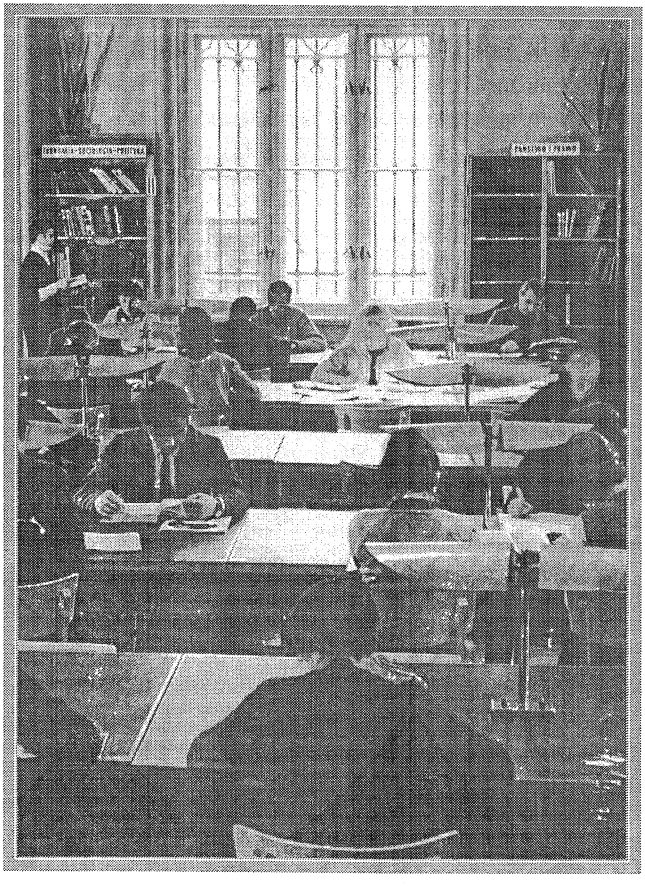

fragment Czytelni Głównej „Na Szajnochy"
(autorka stoi przy regale)

Podczas jednej z narad produkcyjnych, zorganizowanej przez Jerzego W., sekretarza naukowego Biblioteki Uniwersyteckiej, w czasie jego chwilowej nieobecności dyrektor oznajmił, iż gromadzenie i uzupełnianie zbiorów podlega jemu osobiście. W dość burzliwej dyskusji, po powrocie na salę obrad, głos zabrał także Jerzy W., a nie znając wcześniejszej wypowiedzi Szefa, oświadczył, że największy bałagan panuje w Dziale Gromadzenia.

Szczególnie w pierwszych latach po wojnie młodzież, wchodząca do Czytelni Głównej „na krótko", nie lubiła zostawiać wierzchniego okrycia w szatni. Jednakże urzędujący tam dawny, lwowski magazynier skrupulatnie przestrzegał przepisów. Kiedy zobaczył niezdyscyplinowanych czytelników w płaszczach, wypraszał ich, pouczając:
— Tu się wchodzi bez odzieży! *

Powszechnie wiadomo, że w latach pięćdziesiątych Związek Młodzieży Polskiej działał bardzo aktywnie. W Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu należało do niego zaledwie kilka osób. Jednakże organizowane przez związek imprezy musiały „promieniować" na całą uczelnię. Powstał zatem chór i balet, a do grona artystów wpisywano osoby spoza ZMP. Informacje o tym, że biorą udział w balecie czy chórze bibliotecznym, docierały do nich poprzez ogłoszenia wywieszone na tablicy. Na liście chórzystek znalazła się także niezrzeszona koleżanka M. Kiedy zobaczyła to jej matka, pani profesor, natychmiast zawołała ze śmiechem:
— Przecież to jawny sabotaż, ona nie ma za grosz słuchu!

---

* Ze wspomnień... E[lżbieta Stańdowa]. Życie Uniwersytetu... op. cit. s. 6.

Jedna z baletnic, matka dwojga dzieci, zapytana jak się czuje jako artystka i czy nie zdarzyła się jej jakaś wpadka, odrzekła „serjoźnie", że o czymś takim nie ma mowy. Ona się nigdy nie myli. Najpierw patrzy, jakie ruchy wykonują jej „koleżanki-baletnice", a potem zaraz robi to samo...

Przezacny kierownik Oddziału Czasopism kustosz Alojzy Florczak nie bardzo przejmował się modą, ceniąc przede wszystkim wygodę i praktyczność odzieży. Już od wczesnej jesieni aż po wiosnę urzędował w serdaku wg „modelu babuni". Pewnego dnia jego współpracownik dr A. Rombowski narzekał na zimno i złe samopoczucie. Kustosz z dobrego serca, mimo jego sprzeciwu, ubrał go w swój serdak. Spojrzawszy na tak „wystrojonego" bibliotekarza, zaśmiał się głośno, mówiąc:
— Teraz rozumiem, dlaczego kolega Karol Heintsch, wchodząc do mego pokoju, nie może pohamować śmiechu!

Kierownik Działu Starych Druków, mający kłopoty ze słuchem, polecił swemu podwładnemu sprawdzić kilka pozycji w Dziale Katalogów. Zniecierpliwiony długim czekaniem na powrót bibliotekarza, postanowił osobiście zbadać przyczyny jego nieobecności. Zszedłszy do katalogów, zastał pracownika bawiącego wesołą rozmową urodziwą bibliotekarkę. Stanął więc cichutko za jego plecami, po czym powiedział głośno:
— A pan, panie kolego, wolałby, żebym był raczej ślepy, niż głuchy!

Do Czytelni Czasopism wchodzi młoda osoba i dyskretnie pyta o pana Jerzego S.
— Proszę zaczekać — mówi bibliotekarka. — Zaraz go poproszę!

I udając się do przyległego pokoju, oznajmia koledze:
— Ładna kobieta pana poszukuje!
Po kwadransie kolega wraca, mówiąc:
— To nie kobieta! To bratowa.

Jeden z przezacnych kustoszy wszystkie pisma swoich podwładnych, wymagające podpisu dyrektora, skrupulatnie czytał i poprawiał. Zdarzyło się kiedyś, że zniecierpliwiony pracownik ośmielił się zauważyć, iż u niego na pozytywne załatwienie sprawy czeka się dłużej niż u „najwyższego". Kustosz podniósł głowę znad biurka i rzekł:
— Ponieważ między tym, co ja robię, a dyrektorem jest zasadnicza różnica. Ja czytam, nie podpisując, a on podpisuje, nie czytając.

Stefan Nawara — wicedyrektor Biblioteki, organizator gabinetu Graficznego w Książnicy — był nie tylko bibliotekarzem, ale również artystą plastykiem. Jego liczne akwarele najczęściej przedstawiały pejzaże górskie, kwiaty oraz ciekawe kolorystycznie abstrakcje. Kiedy przygotowywał wystawę z tych ostatnich, zawsze padały pytania, jak je wieszać. Wówczas Mistrz odpowiadał:
— Tak, aby nazwisko nie było do góry nogami.

Dr Karol Heintsch, którego zainteresowania naukowe dotyczyły slawistyki, pracując w Bibliotece Uniwersyteckiej jako kierownik Oddziału Udostępniania Zbiorów, popołudniami prywatnie przesiadywał w Książnicy, prowadząc „studia nad Fiolem". O wynikach swoich badań chętnie ze wszystkimi rozmawiał. A kiedy zdarzało się, że ktoś na zebraniach stale lansował swój ulubiony temat, dr Heintsch szeptał do sąsiadów:
— Jak słychać, w Bibliotece wiele osób ma swego Fiola...

Kolega B., namiętny „połykacz książek", już od samego rana zajmował wygodne miejsce w czytelni, aby postudiować... Pech chciał, że pewnego razu dyrektor Biblioteki zaczął urzędowanie od wizytacji działów. Przechodząc przez czytelnię, spostrzegł pracownika „Gromadzenia" i spytał, co tu robi. Na co ten szybko „wystrzelił":
— Ukrywam się przed moim szefem...

Na „służbowym przyjęciu imieninowym" młody magazynier, kończący szkołę średnią na kursach popołudniowych, zwrócił się do kolegi — już studenta — aby zechciał wskazać mu literaturę do Jana Kochanowskiego.
— Proszę zajrzeć do Korbuta — odparł student.
Siedząca obok koleżanka, nieco zdziwiona, zauważyła, że powinien wskazać koledze raczej konkretne opracowanie.
— Niech jemu się raz w głowie zakręci nie tylko od wina — padła natychmiastowa odpowiedź.

W latach czterdziestych do Czytelni Głównej przychodził starszy pan — w szynelu — i zamawiał duże ilości książek z magazynu głównego. Tematycznie były one bardzo zróżnicowane. Kiedy bibliotekarka pytała go, które z nich mu podać, odpowiadał:
— Wszystko jedno! Byle było pięć.

Sympatyczna starsza pani przyszła do Biblioteki, prosząc o zatrudnienie w Książnicy swojej wnuczki, gdyż dziewczynka bardzo lubi czytać. Kiedy starano się jej wytłumaczyć, iż praca bibliotekarza nie polega na czytaniu książek, szybko dodała:
— Ja wiem, że się jeszcze je podaje...

Do Biblioteki Uniwersyteckiej dość licznie, szczególnie w pierwszych latach po wojnie, przychodzili uczniowie starszych klas szkół średnich. Dla niektórych było to pierwsze w życiu zetknięcie z pozaszkolną książnicą. Wymagali oni specjalnej opieki i często korekty wypisywanych rewersów. Zdarzyło się, że przy składaniu przez nich zamówień, bibliotekarka pełniąca dyżur w czytelni zwróciła uwagę, że brak na nich „sygnaturek". Wtedy jeden z młodzieńców odezwał się do kolegi:
— Ty jesteś ministrantem, to dzwoń!

Zdesperowana studentka przychodzi do Czytelni Głównej i żali się bibliotekarce:
— Zdawałam egzamin z logiki u profesora P. Najpierw powiedział, że warto moją odpowiedź nagrać, a potem kazał mi przyjść jeszcze raz!

Prof. Józef Leszczyński, historyk, w czasie swojej choroby prowadził „domowy uniwersytet". Po książki, potrzebne mu na seminarium, zgłaszał się do Biblioteki wytypowany przez niego student, względnie studentka. Zdarzyło się kiedyś, że studentka wyprzedziła kolegę, który dowiedziawszy się o tym, z przekąsem stwierdził:
— Przyszła pierwsza, bo chce być na seminarium gwiazdą intelektu!

Studentka Wydziału Humanistycznego naszej Uczelni, pisząc pracę seminaryjną, zwróciła się do kierownika Oddziału Udostępniania Zbiorów o wypożyczenie „na noc" książki z księgozbioru podręcznego czytelni. Prośbę swoją argumentowała tym, że prof. C. wskazał jej literaturę w języku niemieckim, którego nie zna, o czym go uczciwie poinformowała. Profesor jednak nie ustąpił i powiedział jej, że jak przeczyta wskazaną publikację 10

razy, to się nauczy języka i zrozumie, o co chodzi. Rzecz w tym, że referat musi być gotowy na pojutrze, a ona przeczytała dopiero 5 razy...

Praktykant, przechodzący szkolenie w Dziale Katalogów Rzeczowych, dostał do zaklasyfikowania kilka kartek. Był wśród nich m.in. opis książki Boya Żeleńskiego „Znasz-li ten kraj". Nie zaglądając do książki, przyszły bibliotekarz bez wahania umieścił kartkę w dziale geografii...

Koleżanka X, rozpoczynająca karierę zawodową w Bibliotece, otrzymała do skatalogowania książkę, w której brakowało figurującej w spisie rycin ilustracji. Ilustracja ta przedstawiała szlachetne kamienie umieszczone w szkatułce. Skrupulatna bibliotekarka odnotowała ten ubytek na dole kartki katalogowej: „Szkatułki z drogimi kamieniami brak".

Młoda studentka zwróciła się dyskretnie do dyżurującej w czytelni bibliotekarki:
— Czy może mi pani podać tytuły książek, które zwrócił przed chwilą profesor R.?
A zapytana, po co jej ta informacja, odpowiedziała:
— Ja jutro zdaję u niego egzamin.

Nowo upieczony student wchodzi do czytelni i zwraca się o pomoc do bibliotekarza, pytając gdzie znajdzie dokładny opis interesujących go XIX-wiecznych druków. Zapytany odpowiada:
— O, tu zaraz, na prawo ma pan Estreichera.

Na co student:
— Czy to jest ten niski pan w okularach?

W początkach lat pięćdziesiątych, w dniu „Święta Kobiet", pod przewodnictwem wielkiej społecznicy pani Sz., w stołówce bibliotecznej odbyło się przy herbatce „zebranie niewieście". W chwili, kiedy wspomniana entuzjastka z wielkim zaangażowaniem osobistym przedstawiała rolę, jaką kobiety odgrywają w świecie, przez środek sali przeleciał olbrzymi szczur. Wtedy jedna z feministek zawołała:
— To z pewnością szczurzyca!

EPITAFIUM

Tutaj bibliotekarz leży,
co z kornikami
miał krwawe spotkanie.
Wybacz mu, Panie!

Widząc roje korników,
bibliotekarz blady
rozsierdził się i krzyknął:
Pozabijam gady!
Na co kornik pokornie,
wskoczywszy na drążek,
szepnął doń cichuteńko:
Ty żyjesz — pozwól
i innym żyć z książek...

KWIATPRESS - WROCŁAW 2001